



MARTIN GARDNER — SKRYBA FILOZOFICZNY

Martin Gardner znany jest polskiemu czytelnikowi zarówno z wydanych w Bibliotece Problemów opracowań dotyczących istoty metody naukowej, jak i z prowadzonej przez długi czas kolumny w „Scientific American”. Jego polemiki, prowadzone z sympatykami paranauki, stworzyły mu opinie radykalnego racjonalisty. Stąd nie bez zaskoczenia przyjęto wyznanie Gardnera, iż uważa on teizm za bardziej racjonalne stanowisko niż ateizm. W niniejszym artykule stara się on usprawiedliwić podobną ocenę przez odwołanie do naszego poczucia tajemnicy, które prowadzi do pytań o ostateczny sens porządku świata.

*UWAGA: Tekst został zrekonstruowany przy pomocy środków automatycznych; możliwe są więc pewne błędy, których sygnalizacja jest mile widziana (obi@opoka.org). Tekst elektroniczny posiada odrębną numerację stron.

Martin GARDNER

RACJONALNOŚĆ A POCZUCIE TAJEMNICY†

Czy pewnego dnia nauka odkryje wszystko? Pytanie to jest beznadziejnie mętne, spróbujmy je zatem skonkretyzować. Jeżeli organizmy żywe nie są niczym więcej jak tylko złożonymi układami molekuł, to zrozumiałe, iż biologia i psychologia zostaną w końcu zredukowane do fizyki. I jeżeli fale, a także cząsteczki sprowadzają się do równań matematycznych, to zrozumiałe, iż ostatecznie fizyka może zamienić się w prosty system dedukcyjny. Gdyby kiedyś do tego doszło, czy wszystkie prawa fizyki, czyli wszystkie prawa wszechświata, byłyby w zasadzie odkrywalne?

Skrajną wersję owej koncepcji fizyki jako systemu formalnego zawierają *Dialogi dotyczące religii naturalnej* Dawida Hume'a. W części IX Cleanthes podważa znany argument ontologiczny. Jeśli Bóg istnieje z konieczności, rozważa on, czy nie mógłby istnieć z konieczności sam Wszechświat". „Nie ośmielamy się twierdzić, że znamy wszystkie właściwości materii; cokolwiek byśmy powiedzieli, może ona posiadać takie własności, które, gdyby były znane, ukazałyby jej nieistnienie jako sprzeczność równie wielką jak to, iż dwa razy dwa jest pięć”.

Inaczej mówiąc totalna nicłość jest niemożliwa. Nie mam pojęcia, co to może znaczyć. Faktycznie, gdybyśmy mogli wiedzieć o materii coś, co czyni jej nieistnienie absurdem, taka wiedza rozstrzygnęłaby problem najbardziej podstawowy. Tym niemniej potrafię wyobrazić sobie, że z danego, niezbyt licznego zestawu aksjomatów (dotyczących przestrzeni, czasu, materii, logiki i matematyki) wszystkie prawa wszechświata wynikną w ten sposób, w jaki twierdzenia wynikają z aksjomatów geometrii Euklidesa.

Wydaje mi się, iż fizyka znajduje się bardzo daleko od tak ujmowanego celu, aczkolwiek sporadycznie któryś z wybitnych fizyków wyrazi zapewne

*UWAGA: Tekst został zrekonstruowany przy pomocy środków automatycznych; możliwe są więc pewne błędy, których sygnalizacja jest mile widziana (obi@opoka.org). Tekst elektroniczny posiada odrębną numerację stron.

†Niniejszy tekst stanowi rozdział 20 — *Surpise: Why I Cannot Take the World for Granted* — w pracy *The Whys of a Philosophical Scrivener*.

odmienne uczucia. W wystąpieniu z 1894 roku Albert A. Michelson sformułował następującą, znaną deklarację: „Wszystkie najważniejsze, fundamentalne prawa i fakty nauk przyrodniczych zostały odkryte i są one z taką pewnością ustalone, że możliwość wyparcia ich w konsekwencji nowych odkryć jest niezmiernie mało prawdopodobna [...] Przyszłym odkrywcom pozostaje uściślać szóstą cyfrę po przecinku”.

Podobne uwagi poczynili inni sławni fizycy. Odszukałem w moich papierach zapewnienie Arthura H. Comptona z 1931 roku, że w świecie fizycznym istnieją tylko trzy podstawowe elementy: protony, elektrony i fotony. Było to na rok przed odkryciem neutronu. W 1959 roku, w swoich *Principles of Modern Physics*, Robert B. Leighton zanotował: „Dzięki szybkim postępom czynionym w fizyce cząstek elementarnych należy być może oczekiwać, iż w ciągu najbliższych dziesięcioleci wszystkie zjawiska fizyczne staną się równie zrozumiałe”. George Gamow porównał kiedyś przyrost wiedzy naukowej do okręgu powierzchni kuli, który gdy go przesuwają, zwiększa swój promień. Poza określonym położeniem okrąg ten zaczyna maleć. Jeszcze w 1971 roku Werner Heisenberg mówił o bliskim nadejściu dnia, gdy w fizyce cząstek nie będzie już więcej „niespodzianek”.

W 1965 roku Richard P. Feynman wyraził opinię, że to nasza epoka jest tą, w której zostały odkryte fundamentalne prawa przyrody, a taki dzień jak dzień odkrycia Ameryki „nigdy się nie powtórzy”. Pojawia się oczywiście inne zadania, na przykład badanie systemu słonecznego, czy odkrywanie sposobu działania fundamentalnych praw na poziomie tego typu jak biologia, jednakże „nieustająca innowacja” w znajdowaniu nowych, zasadniczych poziomów nie będzie w stanie poczynić postępów „przez, powiedzmy, tysiąc lat”. Na poparcie powyższego poglądu przedstawił on następujący wywód:

Wydaje mi się, że to co może nastąpić w przyszłości to albo fakt, iż wszystkie prawa zostaną poznane — to znaczy, gdy będzie znana liczba praw wystarczająca do wyznaczania następstw, które zawsze będą zgodne z eksperymentami na jakie tylko pozwoli fizyka — albo może okazać się, że eksperymenty są coraz trudniejsze do wykonania, coraz bardziej kosztowne, i mimo że obejmą 99,9 procent zjawisk, pojawi się zawsze jakiś fenomen niedawno odkryty, szczególnie niepodatny na pomiary, który będzie anomalią. Skoro tylko zostanie on wyjaśniony, pojawi się niechybnie następny, i tak wciąż coraz wolniej i wolniej i coraz bardziej nieciekawie. Oto inna z możliwych dróg przyszłości. Natomiast uważam, że trzeciej możliwości nie ma.

Większość fizyków, podejrzewam, żywi odmienne poglądy. Dla nich przyroda jest absolutnie niewyczerpana, to znaczy zawsze znajdzie się drewniana babuszka zamknięta wewnątrz danej babuszki i drewniana babuszka większa od danej babuszki. Murray Gell-Mann porównał kiedyś fizykę do zadania bezustannego wyjaśniania niejasnych podstaw. Za ledwie wyłoni się zarys fundamentów, gdy ktoś odnajduje pomysłowo ukrytą klapę prowadzącą w dół na przestronną kondygnację. David Bohm i Stanisław Ulam należą do tych, którzy wierzą, że wszechświat posiada strukturę o nieskończenie wielu poziomach w obu kierunkach, w stronę makro i mikroświata.

„Być może paradygmat otrzyma wykończoną postać” stwierdził Philip Morrison; „być może zagubi się w ciągłym regresie komplikacji. Nie wiem. Ale bez wahania przyjmę zakład, że materii, podobnie jak logice, przeznaczone jest pozostać na zawsze częściowo wewnątrz a częściowo poza obrębem dowolnej skończonej formy”. W podziwu godnym eseju *Sztuka nauczania nauki* Lewis Thomas sugeruje, że najlepszy sposób na zainteresowanie młodych ludzi nauką stanowi mówienie nie tylko o tym, co znane, ale także o tym, co nie znane. Powinny mieć miejsce „wykłady z systematycznym wskazywaniem na to, co niewiadome”, na to, co „wprawia w zdumienie”. Aby młode umysły dostrzegły naukę jako wielką przygodę powinno się im powtarzać, że „każdy znaczący krok postępu w nauce, który pojawił się jako odpowiedź, zamienił się wcześniej czy później — zazwyczaj wcześniej — w pytanie. I właśnie zabawa się rozpoczyna”.

Pewnego wtorkowego poranka solidnie pracujący badacz, gdybyś go zapytał, odpowie ci z niejakim samozadowoleniem, że zagadnienia w jego dziedzinie zostały dokładnie uporządkowane, że problemy w końcu przedstawiają się jasno i sensownie, i wszystko jest w porządku. Ale zaglądnij ponownie w inny wtorek, a być może okaże się, że na jego pracę życia zwałił się niedawno sufit. Wszystkie dawne pomysły — czasem zeszlotygodniowe — nie są już dłużej dobrymi pomysłami. Niezbite fakty straciły na pewności, rozmyły się i zniknęły pod naciskiem nowych niezbitych faktów. Wydarzyło się coś dziwnego. I to jest właśnie ta niezwykłość natury, która czyni naukę wyjątkową, która przyciąga ludzi do niej i która powinna znajdować się w centrum nauczania nauki.

Załóżmy dla jasności wyводу, że któregoś dnia fizyka rzeczywiście uzyska formę skończonego zestawu aksjomatów. Nie usunie to jednak istotnych

ograniczeń w tym, co nauka jest zdolna nam zakomunikować. Po pierwsze, nigdy nie będziemy absolutnie pewni tego, że dane aksjomaty są niezmiennie. Nie wiemy, czy one obowiązywały w bardzo odległej przeszłości, a zwłaszcza przed Wielkim Wybuchem, jeśli rzeczywiście miało miejsce jakieś „przed”. Nie wiemy, czy zachowają niezmiennosc w dalekiej przyszłości, lub czy obowiązują one w światach równoległych, o ile światy równoległe istnieją. Nie wykluczone, jak sugerował John Wheeler a także inni fizycy, iż wiele spośród naszych podstawowych praw jest rezultatem czysto przypadkowych zdarzeń, które miały miejsce podczas kilku pierwszych sekund pierwotnej eksplozji; że gdyby te zdarzenia były choć trochę odmienne, co mogło przecież nastąpić, niektóre ważniejsze stałe przyrody byłyby wówczas inne.

Po drugie, system formalny, taki jak geometria Euklidesowa, zawiera nieskończenie wiele twierdzeń oczekujących na odkrycie, nawet jeśli są one, w pewnym sensie, dane poprzez skończoną liczbę aksjomatów i reguł systemu. Jeśli fizyka ulegnie kiedyś formalizacji ujawni się wówczas możliwość istnienia nieskończonej liczby praw, z których wiele — być może nieskończenie wiele — będzie poza zasięgiem ludzkości, chociaż w zasadzie mogą być to prawa wykrywalne po przyjęciu mało prawdopodobnego założenia, że rodzaj ludzki ma przed sobą bezkresną przyszłość. Istnienie rozwinięcia dziesiątnej liczby π , aby wskazać prostą analogię, wynika niezbitnie z aksjomatów teorii liczb, lecz nikt nigdy nie obliczy ostatniej cyfry tej liczby, ponieważ π nie posiada ostatniej cyfry.

Począwszy od odkryć Kurta Gödla sytuacja stała się jeszcze bardziej beznadziejna. Jeżeli fizyka zamieni się w system formalny lub przynajmniej formalny potencjalnie, pojawią się prawa o nierozstrzygalnym statusie, które będzie można opisać językiem systemu, natomiast udowodnić tylko pod warunkiem przyjęcia nowego systemu wraz z nowymi aksjomatami. Fizycy być może przyłapią się na tym, że są przytłoczeni nieskończoną hierarchią systemów formalnych, podobną do nieograniczonej hierarchii systemów tego typu w logice i matematyce.

Trudno mi sobie wyobrazić powód ewentualnego przygnębienia jakiegokolwiek matematyka, wywołanego przez twierdzenie Gödla o niezupełności. W swojej kapitalnej książce *Nieskończoność i umysł* Rudy Rucker opowiada o tym, jak zrozumienie twierdzenia Gödla może podziałać na człowieka w stylu religijnej konwersji, przynosząc ze sobą wspaniałe uczucie wyzwolenia z niepokoju. Rucker podaje, iż Gödel śmiał się często, miarowo, a zarazem hipnotycznie. Czasami wyobrażam sobie, że Bóg natchnął umysł Gödla (zauważył słowo *God* w jego nazwisku) po to, aby objawić nam śmiertelnym

jedną z niebiańskich transcendentnych ironii: nawet w elementarnej teorii liczb istnieją twierdzenia, o których nigdy nie będziemy wiedzieli z całą pewnością, czy są prawdziwe.

Jeszcze większe ograniczenie nauki zawarte jest w samej naturze systemów formalnych. Na każdym etapie tej formalnej gry można pytać: Dlaczego akurat ten system? Oczywiście, jeśli postawi się pytanie o system ostateczny, nie ma sposobu, aby na nie odpowiedzieć. Jedyne sposob, w jaki nauka jest w stanie wytłumaczyć dowolne prawo polega na wkomponowaniu go w prawo bardziej ogólne. Przypuśćmy, że fizycy odkryją w końcu jedno potężne równanie, które opisze jak to czasoprzestrzeń zawiązuje samą siebie w te wszystkie fantastycznie małe węzły zwane cząsteczkami. Moglibyśmy wówczas zapytać: dlaczego to równanie? Najwyraźniej fizyka, pomijając jak blisko będzie pierwotnych aksjomatów, musi zaakceptować najgłębszą strukturę wszechświata, jako coś danego. W naturze działalności naukowej leży to, iż z zasady nie może ona udzielić odpowiedzi na najbardziej ostateczne pytanie: dlaczego istnieje raczej coś niż nic?, ani nawet na pytanie skromniejsze: dlaczego coś, co jest naszym wszechświatem, ma podstawową strukturę akurat taką, jaką ma? Teza, że nauka ze swej istoty jest w stanie odkryć wszystko, można utrzymać jedynie po zredukowaniu jej do trywialnej tautologii, iż nauka może odkryć wszystko to, co jest odkrywalne przez naukę.

Każdy, kto przeczytał powyższe rozważania ze zrozumieniem, uświadomi sobie niewątpliwie, iż wierzę w istnienie prawd, będących całkowicie poza zasięgiem nauki i rozumu, zakładając nawet nieskończony okres ewolucji ludzkiego umysłu. Nie mam na myśli nic tak mało ważnego jak to, czy kosmos przestanie ekspandować lub czy istnieją czarne dziury, czy grawitacja i elektromagnetyzm mogą być zunifikowane, czy też istnieją stworzenia inteligentne na innych planetach, albo czy ostatnie twierdzenie Fermata i hipoteza Goldbacha są prawdziwe. Mam na uwadze pytania, które zasadniczo są poza zdolnością sformułowania przez jakikolwiek umysł (inny niż Boży); prawdy leżące poza najdalszą granicą, do której nauka jest zdolna dotrzeć.

Georg Cantor krytykowany był przez niektórych, niegodnych go przeciwników, za rzekomą implikację, iż Bóg nie istnieje, ponieważ w kantorowskiej teorii liczb pozaskończonych można dowieść nieistnienia największej pozaskończonej liczby. Cantor nie tylko nie sugerował takiego wniosku, ale nawet wyznawał pogląd przeciwny. Był on głęboko religijnym człowiekiem, odkrywającym Boga w obrazie, który przekracza wszystkie skończone i nieskończone zestawy liczb. Z tego powodu, że ja również wierzę w owe „zupełnie

inne” królestwo, królestwo, w którym nasz wszechświat jest nieskończenie małą wyspą, mogą uważać siebie za mistyka w sensie platońskim.

Nie przeprowadzam dowodu rzecz, jasna, lecz jedynie wyrażam uczucie. Nie posiada ono przyjętej powszechnie nazwy. Nie ma możliwości pouczenia kogoś jak go doświadczyć, tak jak nie można komuś poradzić, w jaki sposób ma się zakochać, czy też polubić pewien utwór muzyczny albo wybrany gatunek sera. Rudolf Otto, niemiecki teolog protestancki, wprowadził słowo *numinous* (z łacińskiego *numen*, oznaczającego boską moc), ażeby wyrazić owo uczucie (słowa tego nie należy mylić z pojęciem Immanuela Kanta, które odnosi się do niepoznawalnej rzeczywistości ukrytej za *phenomena* naszego doświadczenia). Dla Otta istotą owego uczucia jest świadomość tego, co nazwał on *mysterium tremendum*, to znaczy przepiękna tajemnica zupełnej inności. Otto nie wymyślił określenia „zupełna inność”. Jest to tłumaczenie tego, co święty Augustyn nazwał *aliud valde*. Dwa tysiące lat wcześniej Hindusi nadali temu imię *anyad eva*, odnoszące się do ich najwyższego boga — Brahmana.

Według Otta o znaczeniu *numinous* stanowi mieszanina uczuć, wyrażonych przez takie słowa jak groza przerażenie, obawa, tajemniczość, fascynacja, zdziwienie, zdumienie. W przypadku teisty doznanie to łączy się z silnymi odczuciami pokory, i własnej małości, świętości, wdzięczności za przywilę istnienia. Sądzę, że stopień w jakim osoba doświadcza tego rodzaju uczuć pozostaje z grubsza proporcjonalny do siły jej wiary w Boga. Nie znam żadnego z wielkich teologów, w ramach czy poza religią zorganizowaną, który nie posiadałby dogłębnego poczucia *numinous*. Jest to tajemnica księgi Hioba. Jest to uczucie, które wywołuje i podsyca wszystkie wierzenia religijne w historii.

Panteiści różnią się znacznie stopniem, w jakim zostali poruszeni przez *numinous*. Wśród tych, dla których cała egzystencja nie jest niczym więcej niż monotonnym powtarzaniem znanych nam zjawisk, owo uczucie przejawia się wyraźnie słabo. Jest ono mocne pośród panteistów, którzy spoglądali na wszechświat jak na cień głębszej rzeczywistości, jak na świat iluzji, hinduską *maya*. Jest ono wyraźne w taoizmie, ponieważ Tao egzystuje równie dalece poza naszą zdolnością rozumienia jak Brahman. Jest ono wyraźne u Spinozy, który — aczkolwiek nie wyznawał osobowego Boga, mogącego wysłuchać jego modlitwy — myślał o Bycie, jako posiadającym nieskończoną liczbę atrybutów przekraczających ludzkie pojmowanie. Uczucie to było silne u Alberta Einsteina, uważającego siebie za spadkobiercę Spinozy.

„Najpiękniejsze doznanie jakie możemy posiadać, to poczucie tajemniczości” — napisał Einstein w często cytowanym fragmencie.

Jest to fundamentalne uczucie, które zawiera źródło prawdziwej sztuki i prawdziwej nauki. Każdy, kto nie zna go i nie potrafi już popaść w zdumienie, ani już więcej podziwiać, jest jak martwy, a jego oczy są zaćmione. Doświadczenie tajemnicy — choćby nawet pomieszane z trwogą — wydało z siebie religię. Świadomość istnienia czegoś, czego nie potrafimy zbadać, nasze postrzeganie najgłębszej racji i najbardziej olśniewającej piękności, które tylko w swoich najprymitywniejszych formach są dostępne dla naszych umysłów — oto wiedza i oto uczucie, które tworzy prawdziwą religijność; w takim sensie i tylko w takim jestem człowiekiem głęboko religijnym.

Ostatnie zdanie można by nieomal przepisać z najbardziej znanej pracy Otta, *Świętość*.

Znamy wszyscy wyznanie Isaaca Newtona, że uważa siebie za chłopca, bawiącego się na plaży i radującego się znalezieniem od czasu do czasu „gładszego kamyka i ładniejszej niż zazwyczaj muszelki, podczas gdy wielki ocean prawdy, cały niezgłębiony, leży przede mną”. Używając mniej znanej metafory Einstein oświadczył kiedyś swojemu rozmówcy:

Jesteśmy w sytuacji małego dziecka, wchodzącego do ogromnej biblioteki, której ściany pokryte są, aż po sufit, książkami w różnych językach. Dziecko wie, że ktoś musiał napisać te książki. Nie wie ono kto i w jaki sposób. Nie rozumie języków, w których zostały napisane. Dzieciak zauważa pewien plan w uszeregowaniu książek, tajemniczy porządek, którego nie pojmuje, lecz zaledwie domyśla się niepewnie. Takie jest, wydaje mi się, położenie ludzkiego umysłu, nawet największego i najbardziej wykształconego, wobec Boga.

„Pani” rzekł dr Lao, „rola sceptyka nie pasuje do ciebie; istnieją na świecie rzeczy, których nawet doświadczenie całego życia spędzonego w Abalone (Arizona) nie pomoże wyobrazić sobie”. „Wiedza ludzka”, napisał gdzieś Jean Henri Fabre, „zostanie wymieciona ze światowych archiwów, zanim posiadziemy ostatnie słowo, jakie komar ma nam do przekazania”. Podstawmy *kamień* w miejsce *komara*, a sądzę, że zdanie to będzie nadal prawdziwe. Jorge Luis Borges przypomina pewien stary buddyjski tekst, który

mówi: „Gdyby istniało tyle Gangesów, ile ziaren piasku w Gangesie i ponownie tyle Gangesów, ile ziaren piasku w tych nowych rzekach Ganges, liczba ziaren piasku byłaby mniejsza od liczby rzeczy *nie znanych* Buddzie”.

W jednej ze znanych kwestii Hamlet powiada: „więcej rzeczy w niebie i na ziemi, Horacy, niż śniło się filozofom”. Współcześnie cytuje się ją rzadziej niż podobna sugestia J. B. S. Haldane’a. „Otóż, podejrzewam, iż wszechświat jest nie tylko bardziej osobliwy niż przypuszczamy, ale bardziej osobliwy niż możemy przypuszczać”. Jeśli zamienić *my* na *ty*, wówczas sentencja Haldane’a będzie dobrym podsumowaniem tego, co Bóg wyrzyczał do Hioba poprzez wichurę.

Herbert Spencer uwydatnił tajemnicę totalnej inności bardziej niż jakikolwiek brytyjski filozof, uważający siebie za agnostyka lub ateistę. Spencer określił ją jako Niepoznawalne — a nie jako Nieznane. Zawiera ono zarówno wszystkie transcendentne własności kantowskiego *noumenu*, jak i nieskończoną liczbę innych własności, będących całkowicie poza naszym zasięgiem. Theodore Dreiser był tak przejęty koncepcją Niepoznawalnego, iż zakończył swoją powieść *Geniusz*, cytując długi fragment, w którym Spencer pisze o tajemnicy przestrzeni i o sartré'owskich „mdłościach”, jakie owa tajemnica w nim wzbudziła:

Poza zasięgiem naszej inteligencji istnieją tajemnicze aspekty przedmiotów znanych naszym zmysłom, natomiast tajemnice obecne w uniwersalnej matrycy wszechświata znajdują się, jeśli można tak powiedzieć, jeszcze dalej poza zasięgiem naszej inteligencji. Kiedy bowiem te pierwsze mogą być i są traktowane przez wieki jako możliwe do wytłumaczenia po przyjęciu hipotezy kreacji, a przez innych po uznaniu hipotezy ewolucji — te drugie nie mogą być przez nikogo uznane za wytłumaczalne w ten sposób. Teista i agnostyk muszą zgodzić się w uznawaniu właściwości przestrzeni za wrodzone, odwieczne, niepochodne — za poprzedzające wszelką kreację, jeśli kreacja miała miejsce. Wskutek tego, choćbyśmy mogli zgłębiać tajemnice egzystencji, i tak pozostałyby jeszcze bardziej transcendentne tajemnice. To co nie może być pomyślane ani jako wynik kreacji ani ewolucji, zaznajamia nas z faktami, których źródło jest nawet bardziej oddalone od możliwości zrozumienia niż źródło faktów, prezentowanych poprzez rzeczy widzialne i dotykalne [...] Myśl o tej nieokreślonej formie egzystencji, która to egzystencja badana we wszystkich wymiarach tak dalece, jak można okiem sięgnąć, po-

siada ponadto pewien niezbadany obszar, w porównaniu z którym obszar spenetrowany przez wyobraźnię jest wszakże niesłychanie mały — myśl o przestrzeni, w porównaniu z którą nasz bezkresny system gwiazdny kurczy się do punktu, jest myślą zbyt przygniatającą, ażeby ją rozważać. Ostatnimi laty świadomość, iż bez początku i bez przyczyny nieskończona przestrzeń odwiecznie istniała i musiała zawsze istnieć, wytwarza we mnie uczucie, od którego się wzdrygam.

A oto ateista Bertrand Russell w jednym ze swoich rzadkich nastrojów spod znaku *numinous*: „Chcę stanąć na krawędzi świata i zerknąć w ciemność po drugiej stronie i dojrzeć trochę więcej niż inni widzieli pośród niezwykłych kształtów tajemnicy, która zamieszkuje tę nieznaną noc [...]”. Cytat ten pochodzi z listu, jaki napisał Russell, przebywając w więzieniu podczas I wojny światowej. Później w jednej z filozoficznych książek, zanotował: „Ale jeśli istnieje świat, który nie jest ani fizyczny ani przestrzenno-czasowy, być może ma on taką strukturę, że o jej poznaniu, czy też opisaniu, nie mamy co marzyć”. Russell spieszy dodać, iż „popadł teraz w mistyczna spekulacje” i nie powie nic więcej, ponieważ z samej natury tego zjawiska nie ma niczego więcej, co mógłby *powiedzieć*. George Santayana, inny uczciwy intelektualnie ateista, podziwiał spencerowską koncepcję Niepoznawalnego, a co jakiś czas pozwalał sobie na mówienie o tej sferze. „Prawdziwie nieograniczony intelekt” — pisał — „nie może zakładać, że świat jest na wskroś zrozumiały. Mogą istnieć nielogiczności, mogą istnieć anomalie mogą istnieć ciemne otchłanie, wobec których inteligencja musi zamilknąć ze strachu przed obłąkaniem. „Czy nie wyczuwa się za tym zdawkowym spostrzeżeniem Santayany jego doświadczenia *mysterium tremendum*?

Również inny z ateistów, H. G. Wells (jeśli pominąć jego chwilową przygodę ze skończonym Bogiem) sporadycznie dostrzegał przepotętną tajemnicę. Wśród jego tekstów największą dawkę owej *numinous* zawiera rozdział o *Prawdzie Ostatecznej*, zawarty książce: *Praca, bogactwo i szczęście ludzkości*:

Niewykluczone, że istniejemy i przestajemy istnieć na przemian, podobnie jak drobne plamki tworzące różne odcienie na wydruku albo jak sekwencja kadrów na taśmie filmowej. Niewykluczone, iż świadomość to złudzenie ruchu w statycznym, wiecznym, wielowymiarowym wszechświecie. Być może jesteśmy tylko historią napisaną według zasad nie dającej się pojąć rzeczywistości, je-

dynie deseniem na kobiercu pod stopami niepojmowalnego. Być może jesteśmy, jak zdaje się to sugerować Sir James Jeans, częścią potężnej idei zawartej w medytacji boskiego, wszechobecnego matematyka. Rozważanie podobnych możliwości to wspaniałe ćwiczenie dla umysłu. Uświadamia nam ono ograniczoną całkowicie naturę naszej inteligencji, takiej jaka ona jest i egzystencji, takiej jaką mamy. Prowadzi nas wyraźnie w kierunku wiary w to, że dla umysłów takich jak nasze ostateczna prawda rzeczy pozostaje na zawsze niezrozumiała i niepoznawalna [...]

Wykluczenie tajemnicy z życia jest niemożliwe. Bycie jawi się jako całkowicie tajemnicze: Tajemnica jest wszędzie — wokół nas i wewnątrz nas — Niepojęte przenika nas, jest ono „bardziej w nas aniżeli oddech i bliższe nam niż nasze ciało”. Wszystko, co o nas samych wiemy, może zamienić się w martwą prawdę, podobnie jak znika koncentracja uważnego gracza, gdy gra jest skończona albo na podobieństwo wodza odwracającego wzrok od sceny, gdy opadła kurtyna, po to by spojrzeć na widownię, o której przez jakiś czas nie pamiętał. Są to ładne metafory, które nie mają nic wspólnego z grą, czy też dramatem przestrzeni i czasu. W ostateczności tajemnica może być jedynym problemem, który ma znaczenie, jednakże *pośród zasad i ograniczeń życiowej gry*, wówczas gdy łapie się pociąg, płaci rachunki lub zarabia na życie, tajemnica nie liczy się wcale.

Komentując w autobiografii powyższe strony Wells podsumował:

Uświadamiam sobie, że Byt otoczony jest zdumieniem z wszystkich stron. W takim oto układzie, jak w małym domku pośród obcej, zimnej, rozległej i pięknej scenerii, toczy się życie na tej planecie. Stanowię właśnie przejściowy okrucuch i przejaw tego życia. Wewnątrz owego domku kwitnie interes ponad miarę: pożyteczny w najwyższym stopniu. Niemniej jednak czasem ktoś przynaglony do wyjścia na zewnątrz odczuje potrzebę, by wpastrywać się w zagadkowe przestworza. Lecz dla takiego stworzenia jak ja nie ma tam na zewnątrz nic rozsądnego do roboty. Ostatecznie odległe, metafizyczne perspektywy mogą oznaczać cokolwiek, ale dopóki istnieje moja realna wola i pole działania, nic one nie znaczą.

Nic? Zauważmy jak szybko Wells, podobnie jak Russell, pozbył się *mysterium tremendum* jako niewartego podziwu, czy też dłuższej kontemplacji.

Wśród filozofów współczesnych John Dewey jest dla mnie znakomitym przykładem ateisty, który posiadał poczucie *numinous* w minimalnym stopniu. We wszystkich tekstach Deweya nie byłem w stanie wyszukać bodaj jednego fragmentu przemawiającego do mnie, jako godny zapamiętania wyraz zdziwienia tajemnicą istnienia. Nic i nigdy nie wydaje się być dla Deweya okryte tajemnicą. Nigdy, o ile sobie przypominam, nie dostrzegł on nic tragicznego lub zabawnego lub absurdalnego w kondycji ludzkiej. Jesteśmy organizmami współoddziaującymi z otoczeniem, i to wszystko. Sugeruję, że to właśnie niemal zupełny brak poczucia tajemnicy u Deweya, a także poczucia humoru, czyni jego wywody niewiarygodnie nudnymi. Któż potrafi czytać go w dużych dawkach?

Odnalazłem w moich papierach odpowiedź na list, zamieszczony na łamach *The New Leader*, w którym wyrażono ubolewanie, iż Deweyowi brak odczucia zdziwienia. Zachowałem jedynie opublikowaną odpowiedź — list od Corliss Lamont. Wręcz przeciwnie powiada Lamont, Dewey obdarzony był żywą świadomością kosmosu, jako nieogarnionej całości, wzbudzającej grozę. Na potwierdzenie Lamont przytacza z *Powszechnej wiary* Deweya następujący fragment:

Organiczna całość przyczyn i skutków, w którą razem z nienarodzonymi jesteśmy wplątani, stanowi najbardziej uniwersalny i najgłębszy symbol tajemniczej totalności bytu, nazywanego przez wyobraźnię wszechświatem. Jest ona uzewnętrznieniem idei i sensu tych z otaczających nas sfer egzystencji, których intelekt nie potrafi ująć. Jest ona prawzorcem, w którym poruszają się i rodzą nasze szlachetne pragnienia. Jest źródłem wartości, które wrażliwość moralna wykorzystuje jako kryteria postępowania i wyznaczania celów.

Tu przerywam. Jeśli to jest wypowiedź o największej dawce *numinous*, jaką Lamont potrafi wyszukać w książkach Deweya (a ja nie natrafiłem na lepszą), potwierdza ona wyraźny u Deweya brak zainteresowania totalną innością. W istocie, jak przyznaje Lamont, celem *Powszechnej wiary* było takie przedefiniowanie pojęć *religia* oraz *wiara*, aby usunąć wszelkie intuicje nadprzyrodzonej rzeczywistości. Pod tym względem Dewey jest typem przyziemnego osobnika, który uważa spekulacje metafizyczne za stratę czasu. Nie mam na myśli kogoś, kto przyznaje, że nie istnieją racjonalne lub empiryczne

sposoby rozstrzygania zagadnień metafizycznych, lecz kogoś, kto nigdy nie sprawia wrażenia zaniepokojonego zagadnieniami tego typu. Wielce doceniam Rudolfa Carnapa za jego wkład do filozofii nauki, niemniej sędzę, że pod tym względem przypomina on Deweya. Obaj akceptowali tajemnicę, która otacza całą naukową wiedzę, a jednak słabo odczuwali metafizyczny niepokój. W opublikowanych przez Richarda Burgina *Rozmowach z Jorge Luisem Borgesem*, Borges wspomina poznaną kiedyś kobietę o wysokiej inteligencji, która nie była w stanie zrozumieć cokolwiek z podarowanych jej przez niego książek biskupa Berkeleya i Williama Jamesa:

„Nie widziała powodów, z jakich ludzie mieliby medytować nad sprawami, które były dla niej bardzo proste. Zatem spytałem: „Tak, ale czy jest pani pewna, że czas to coś prostego, czy jest pani pewna, że przestrzeń to coś prostego, jest pani pewna, iż świadomość to coś prostego”. „Tak”, odrzekła. „Świetnie, a czy mogłaby pani je zdefiniować?” „O nie, nie sędzę abym potrafiła, a jednak nie odczuwam ich jako czegoś zagadkowego”.

W przeciwieństwie do większości ateistów i agnostyków, Borges nieustannie przeżywa zdziwienie światem, pomimo iż nie jest pewny istnienia Boga, pomimo że nie pragnie, jak wyznaje, ponownego życia. Znakomita większość mężczyzn i kobiet, w szczególności kobiet, powiedział w rozmowie z Burginem (nie podzielał tutaj rozróżnienia Borgesa między płciami), traktuje wszechświat tylko jako faktyczny stan, który trzeba uznać:

Nigdy nie dziwią się niczemu, nieprawdaż? Uznają za oczywiste, że dane jest im żyć. Pamiętam, po raz pierwszy doznałem tego, gdy mój ojciec zwrócił się do mnie: „Co za dziwna sprawa”, oznajmił, „podobno żyję, jak powiadają, ukryty za moimi oczami w środku mojej głowy, zastanawiam się, czy to ma sens?” Wtedy pierwszy raz poczułem to i natychmiast zakodowałem sobie, ponieważ wiedziałem o czym on mówi. Jednak wielu ludzi ledwie to rozumie. I pytają: „No dobrze, ale gdzie indziej mógłbyś jeszcze żyć”.

Żaden współczesny pisarz nie żył bardziej niż Gilbert Chesterton z wszechogarniającym poczuciem ontologicznej nieoczywistości, z poczuciem zdziwienia tym właśnie, że żyje. Z pewnością jest to zasadniczy powód tak wielkiego umiłowania jego poezji i prozy przez Borgesa. W swojej autobiografii Chesterton trafnie nazywa ten sposób bycia „główną ideą mego

życia” i określa go nie jako przyjmowanie świata za niewątpliwą oczywistość lecz obcowanie z nim pełne pokory i wdzięczności. Jest to spoglądanie na wszystko, nawet na najbardziej pospolite rzeczy jako na coś zarówno nieoczekiwanego i niezasłużonego. „Jedyny sposób by ucieszyć się z pokrzywy to odczuć, iż nie zasługuje się nawet na to zielsko”. Całe zło tego świata stanowi niską cenę do zapłacenia za przywilej istnienia.

Można by utworzyć obszerny tom z fragmentów dzieł Chestertona, w których, poprzez piękne i zabawne wariacje, rozwija on temat radowania się światem w stylu szczęśliwego dziecka, cieszącego się nim, jak czymś cudownym. Zbiór ten zawierałby napisany przez Chestertona wstęp do księgi Hioba. Zawierałby ów tom wielce oryginalną pochwałę porządku zaczerpniętą z pierwszego rozdziału *Człowieka, który był czwartkiem*. Pewien poeta utrzymuje, iż porządek jest nudny, zaś owa mieszanina stanowi duszę poezji. Dlaczego pasażerowie londyńskiego metra wyglądają na straszliwie znużonych i smutnych? „Ponieważ wiedzą, że kolej funkcjonuje prawidłowo [...] Bo gdy miną Sloane Square wiedzą, że następna musi być Victoria. Ależ obłędne uniesienie! Och, oczy ich stają się podobne do gwiazd, ich dusze ulatują do raju, bo następnym przystankiem, w niepojęty sposób, okazuje się być Baker Street!”

Nonsens, reaguje Gabriel Syme. „Rzadką, nietrywialną sprawą jest trafić, natomiast powszechną i oczywistą — spudłować. Czujemy, że to godne opisu, gdy człowiek jedną prymitywną strzałą osiąga odległego ptaka. Czy to nie jest równie godna opisu sytuacja, kiedy człowiek za pomocą szybkiej maszyny osiąga odległą stację? To chaos jest nieciekawy, ponieważ w chaosie mógłby zajechać dokądkolwiek, na Baker Street albo do Bagdadu. Lecz człowiek jest czarodziejem, a jego magia polega na tym, iż mówi Victoria i o dziwo, pojawia się Victoria”. Antologia wydana przeze mnie, zawierałaby sporo krótkich opowiadań Chestertona w stylu *Niesamowitej teorii profesora Greena*, gdzie pewien astronom, opanowany nagle uczuciem czci dla zwykłych rzeczy, prowadzi w podniosłym stylu wykład na temat odkrycia przez siebie nowej planety. W miarę jak kontynuuje, uczeni, którzy go słuchają, z wolna zaczynają rozumieć, iż opowiada on o Ziemi. [...]

Moja książka o twórczości Chestertona zawierałaby wiele esejów i fragmentów, w których GK głosi chwałę i tajemniczość zwykłych przedmiotów — *Wstrząsających drobiazgów*, jak je nazywa w tytule jednej ze swoich najlepszych książek. Obejmuje ona passusy, w których autor łączy odczucie boskiej potęgi z poczuciem absurdu; dostrzegając w pelikanie jeden z żartów Stwórcy, dostrzegając w kobiecie i mężczyźnie czworonożne zwierzęta,

balansujące na tylnych kończynach. Wśród moich materiałów o Chestertonie odnalazłem urywek (opatrzonej datą 1945) historyjki o *Blondie*. Da-gwood przygotował sobie ogromne kanapki i podczas jedzenia ich rozpoczął lekturę *Blondie* przeczytawszy na głos: „Jedzenie jest głupią czynnością. Po to, aby umieścić pokarm w żołądku musisz przepchnąć go przez swoją twarz”. Klasyczne zdanie z Chestertona. W *Napoleonie z Notting Hill* Chesterton opisuje jedzenie jako nadziewanie się odmienną substancją poprzez dziurę w głowie, a gdzie indziej czynność picia przedstawia jako wlewanie płynu przez otwór w sposób, w jaki napełnia się butelki. Zapewne pozosta-wiłby on zabawne opisy aktu seksualnego, gdyby nie uznawał tego za rzecz w złym guście. Będąc gorącym wielbicielem Edwarda Leara i Lewisa Car-rola, GK zwracał często uwagę na znaczenie nonsensu w rozwijaniu uczucia zdziwienia światem.

Owa antologia byłaby niekompletna bez rozdziału *Etyka w krainie psot-ników* pochodzącego z *Ortodoksji*. W duchu Hume’a, chociaż Hume nie jest nigdzie wymieniony, Chesterton argumentuje, iż wszystkie prawa przyrody powinny być traktowane jako coś niezwykłego, bowiem nie ma logicznego związku pomiędzy skutkiem, a jego przyczyną. Czarodziejskie opowieści, powiada GK, przypominają nam, że prawa przyrody są arbitralne w tym sensie, iż mogłyby być, wszystkie jakie znamy, zupełnie inne niż te, które istnieją.

Być może regularność natury, jej niesamowita powtarzalność jak ją okre-sła Chesterton, nie wynika z logicznej konieczności, a mimo to istnieje, ponie-waż Bóg jest na tyle potężny, aby niczym małe dziecko cieszyć się z powodu cykliczności.

Możliwe, iż to Bóg nakazuje codziennie rano Słońcu „wykonaj to ponownie”; co wieczór „wykonaj to znowu” Księżycowi. Wza-jemne podobieństwo wszystkich stokrotek wcale nie musi być nieuniknioną koniecznością; być może Bóg stwarza każdą sto-krotkę niezależnie i nigdy, się tym nie męczy. Niewykluczone, że ma On nieustający sentyment do dzieciństwa; a my grzesząc postarzelśmy się i w tym sensie Ojciec nasz jest młodszy od nas. Powtarzalność w przyrodzie nie musi oznaczać wyłącznie mechanicznych nawrotów; być może jest ona teatralnym bitem. Ptak składający jajo — oto przykład spektaklu, granego na bis przez niebiosy.

Ten sposób widzenia natury, jako wszędzie obecnej magii, która oczywiście zakłada Czarodzieja, niewątpliwie wynika po części z pełnego fascynacji oglądania popisów wybitnych kuglarzy. Sztuka kuglarska to jedna z miłości mego życia i, podobnie jak Chesterton, uważam ją za pokrewną umiłowaniu fantazji literackiej.

Nauka przypomina nam o koniecznościach, ukrytych w osnowie rzeczywistości. Magia i fantazja przypominają nam o zawartym w osnowie rzeczywistości braku konieczności. [...]

Sztuka magiczna, pisał Max Beerbohm w powieści o pięknej czarodziejce, *Zuleika Dobson*, jest „sztuką, która wskazuje w sposób on pewno bardziej sugestywny niż jakakolwiek inna, na właściwe ludziom odczuwanie niezwykłości i pobudza zdolność dziwienia się; to najbardziej romantyczna ze wszystkich sztuk”. Bawią nas pokazywane sztuczki, ponieważ ich rzekome cuda uświadamiają nam, iż prawa przyrody mogłyby bez problemu umożliwić kobietom unoszenie się w powietrzu, a słoniom znikanie. Widz obdarzony odczuciem *numinousum* wyjdzie z przedstawienia wielce zaskoczony tym, że upuszczone przedmioty spadają, że gdy dzień nadchodzi, to gwiazdy znikają, aby w nocy pojawić się tajemniczo.

Można być pewnym, iż Chesterton, podobnie jak Charles Dickens (który osobiście uprawiał magię na scenie) i Lewis Carroll, lubił oglądać magiczne pokazy. Mówiąc wprost — GK napisał niezwykłą sztukę *Magic*, w której główną postacią jest zawodowy sztukmistrz. Mogę sobie z łatwością wyobrazić jak Wells, Einstein i Santayana wpatrują się z zachwytem w demonstrowane sztuczki. Natomiast trudno sobie wyobrazić Deweya lub Carnapa, oglądających kuglarza bez znużenia. Obydwaj nie widzieli większej wartości w rozmyślaniu o tak nonsensownych ewentualnościach, aczkolwiek nie ma wątpliwości, iż zgodzilibyśmy się z tym, że prawa przyrody mogłyby być inne, aniżeli są. Przypominają oni człowieka z Crest w anonimowym limeryku:

Pewien młodzian z miasta Crest
 Odkrył, że życie jest czym jest,
 Bo od małego się go uczyło,
 że gdyby było tym, czym nie było,
 Nie mogłoby być tym, czym jest.

Dla ateisty i pozytywisty świat jest, czym jest. Jakże mogłoby być inaczej? Gdziekolwiek indziej moglibyśmy jeszcze żyć? Nie ma sensu rozważać dlaczego jest, co jest, ponieważ nie ma metody, dzięki której rozum, czy też

nauka, poradziłby sobie z tym pytaniem. Uznaj jedynie taki wszechświat, jaki znamy. Badaj jego strukturę na tyle, na ile się da. Staraj się być szczęśliwym na tyle, na ile to jest możliwe, zanim znikniesz powtórnie w Czarnym Kapeluszu, z którego wyskoczyłeś do życia.

Wiedza o tym, jak wykonuje się sztukę psuje cały jej efekt, bądźmy więc wdzięczni, iż gdziekolwiek nauka i rozum skierują swoją uwagę, pogrążają się ostatecznie w egipskich ciemnościach. Nie jestem bynajmniej zmartwiony tym, iż nie pojmuję czasu i przestrzeni, ani świadomości ani wolnej woli, ani zła, ani dlaczego wszechświat jest zbudowany tak, a nie inaczej. Odczuwam niewysłowioną ulgę nie będąc zmuszonym do pełnego zrozumienia natury Boga czy też istnienia po śmierci. Nie chcę być oślepiony przez prawdy przerastające możliwości mojego wzroku, umysłu i serca. Podobnie jak Carnap jestem zadowolony z braku racjonalnych metod, pozwalających na przenikanie najgłębszych tajemnic.

Czy należy więc wyciągać wnioski, iż wszystkie spekulacje metafizyczne są daremne? Pytanie to stawia pewien metafizyk w jednym z pozorowanych dialogów autorstwa Raymonda Smullyana, a mistyk odpowiada na nie:

Bynajmniej! Czasem to absolutnie konieczne aby ten, kto usiłuje zastosować obiektywne metody, które nie mogą być skuteczne, uderzył głową w mur zanim uświadomi sobie potrzebę bezpośrednich metod introspekcyjnych. Metafizyka jest przede wszystkim ogromnym wysiłkiem medytacji, nie dla jednostki, lecz dla ludzkości jako pewnej całości — wysiłkiem, którego celem jest przyczynić się do zrozumienia tego, iż nie można udoskonalić metod metafizyki. Mówiąc inaczej, metafizyka stanowi niezbędny proces dojrzewania gatunku ludzkiego do tego, aby przyjmowano postawę mistyczną.

Podziela zdanie Smullyana — to jego głos jest głosem mistyka. Nie ma żadnym metod metafizycznych. Nie istnieje racjonalna droga, zbliżająca do Boga — czy też do Tao, jak wolałby powiedzieć Smullyan — oprócz drogi w świecie wewnętrznym. Co się tyczy owej drogi serca, prowadzącej do teizmu, wyznam, że nie mam pojęcia, dlaczego niektórzy ludzie przejawiają skłonność do podążania nią, a inni uważają to za niemożliwe. Nie wiem nawet, czy do takiej wędrówki poczucie *numinousum* jest nieodzowne.

W drugiej księdze Oz, kiedy Tip ożywia drewniany kozioł do rżnięcia drzewa za pomocą cudownego proszku Mombiego, stworzenie jest bardziej zaskoczone aniżeli Tip. „Ze zdumieniem obracał sękatymi oczyma na

wszystkie strony. Po raz pierwszy spoglądając na świat, w którym jego zaistnienie stało się teraz takie ważne”. Czy żaden z zacytowanych w tym rozdziale fragmentów nie pobudził w tobie, cierpliwy czytelniku, podobnego uczucia zaskoczenia i zadziwienia? Czy nigdy nie wprawilo cię w zdumienie odkrycie siebie samego nie tylko jako żyjącego w świecie Ozzy, ale — co bardziej niewiarygodne — jako świadomego tego faktu, że jesteś żywy? Czy jesteś w stanie utożsamić się z owym drewnianym kozłem, gdy oznajmia on w trzeciej księdze Oz: „taki stwórz jak ja nie ma powodu, aby żyć”?

Jeśli jesteś skłonny przystanąć z zaintrygowaniem i pokiwać głową nad tym małym, jamopodobnym skrawkiem ziemi, gdzie ukrywasz się wielce osobliwie przez jakiś czas — i to taki krótki! — wobec tego moja książka nie jest przeznaczona dla ciebie. Bo w końcu gdzie jeszcze można by się podziać?

przełożył: *Aleksander Bożek*